Nro 1. R. 1837. ŚRODA 2 SIERPNIA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

SZTUKA PISANIA KSIĄŻEK.
z Washingtona Irwinga.

Jeżeli zdanie Senezyusza jest prawdziwe · że większém jest przestępstwem skradać owoce pracy tych ludzi, którzy już nie żyją, niżeli skradać ich dobra; ah cóż się stanie z większą częścią naszych pisarzy?

(Burston's *anatomy of melancholy.*)

Częstom się nié mógł wydziwić nadzwyczajnéj liczbie autorów; i że tyle głów, które natura piątnem niepłodności zdała się naznaczyć, mnogie jednakże wyradzają tomy. Ale jako człowiek, w podróży tego żywota, postępując coraz daléj, w każdym dniu widzi zmniéjszające się przedmioty swego podziwienia; i ciągle znajduje jakąś prostą i naturalną przyczynę tego, co mu się z początku nadzwyczajném zdawało; tak śród moich przechadzek po rozległéj stolicy Anglików, przypadkiem przyszedłem do odkrycia kilku tajemnic sztuki napisania książki, i zadziwienie moje ustało. — Dnia jednego latem przechadzałem się od niechcenia po ogromnych salonach muzeum angielskiego, z tą niedbałością, jakiéj się doświadcza w czasie wielkiego upału. Tam, to zginając się, patrzyłem na minerały pod szkłem w szufladach leżące; tom się starał pojmówać znaki hieroglificzne jakiéj mumii egipskiéj, albo téż z powodzeniem blizko tému podobném siliłem się odgadywać malowidła allegoryczne, które zdobią sklepienia salonów. Cały w marzeniach, spoglądałem na tę i na owę stronę, gdy się tym czasem uwaga moja zatrzymała na jednych drzwiach odległych w końcu długiego rzędu pokojów. Drzwi owe były zamknięte, lecz się niekiedy otwiérały i niektóre uprzywiléjowane istoty, po większéj części w czarnéj odzieży, ukradkiem przez nie się wmy-

kały, szybko przebiégając inne sale, i niedając żadnéj baczności na otaczające przedmioty. W ułożeniu ich było cóś tajemniczego, co tknęło moję ciekawość. Zechciało mi się sprobować przebyć tę małą ciaśninę i odkryć nowe za nią nieznane krainy. Drzwi ustąpiły przed moją ręką z równą łatwością, jak bramy żelazne zamków zaczarowanych posłuszne bywają błędnym rycérzom. Ujrzałem się w rozległéj sali otoczonéj wielkiémi szafami, które szacownémi księgami napełnione były. Nad témi szafami, a mianowicie u spodu gzémsów, umieszczono wielką liczbę portretów starożytnych autorów z miną jakąś surową. Na około sali ustawione były długie stoły z pulpitami do czytania i pisania, gdzie siedziało wiele osób twarzy bladéj i wyniszczonéj, a przewracając zapylone karty woluminów, albo drabując spleśniałe rękopisy wyciągało stamtąd obfite wyjątki. Najgłębsze w tém tajemniczém siedlisku panowało milczenie, przerywane tylko skrzypem piór, ciągnionych po papiérze, lub przedłużoném westchnieniem, którego z tych mędrców, gdy zmiénił swe położenie odwracając kartę starego in-folio.—Nierzadko te osoby pisały cóś na małym karteluszu i w dzwonek dzwoniły. Na ten znak, jeden z posługujących w sali, prędko przybiégał, a wziąwszy papiér w milczeniu śpiesznie wychodził, i natychmiast powracał obciążony wielkiémi woluminami, na które mędrzec uczony rzucał swe chciwe dłonie zwiészając głowę jakby chorobą głodu dręczony, chcący je pozrzeć od razu. Nie wątpiłem, żem wszedł do zgromadzenia czarnoksiężników, głęboko zajętych nauką umiejętności tajemnych. — Ciekawość moja do najwyższego dochodziła stopnia: zbliżając się ku jednému z owych, coto tam i sam biegali, w chwili, gdy się miał stamtąd oddalić, śpytałem go się na ucho: coby to za dziwne widowisko było? Kilka słów zdołało mię objaśnić w téj mierze. Poznałem, iż ci, których za magików wziąłem, byli po większéj części autorami w téjże nawet chwili robieniem książek zatrudnionymi. Jakoż znajdowałem się istotnie w czytelni wielkiéj książnicy angielskiéj, śród ogro-

mnego zbioru woluminów wszystkich wieków i krain, których większa część zapomniana a wielka mało czytana. I z tychto źródeł ukrytych znaczna liczba dzisiéjszych pisarzy, czérpając klassyczne wiadomości literatury starożytnéj, albo języka angielskiego w swéj piérwiastkowéj czystości, użyźnia płonność umysłu swojego. — Widząc się być posiadaczem sekretu, usiadłem w kącie dla rozpatrzenia metody tych literackich obrotów. Uważałem pilnie na jednego człowieka chudego wyżółkłéj twarzy; książki, które ón sobie podawać kazał, były zawsze od molów pogryzione i gockiemi drukowane literami. Bez wątpienia układał dzieło głębokiéj nauki, któregoby żaden chcący uchodzić za uczonego niezaniedbał kupić, by je na widoku na pólce swéj bibliotéki umieścić, lub zostawić otwarte na stole, chociażby go nigdy nie czytał. Widziałem, iż czasami wyciągał z kieszeni duży biszkoktu kawał, gryząc go w cichości. Czy to był obiad jego, czy może raczéj chciał tylko pokrzepić żołądek wycieńczony siedzeniem nad tak suchémi książkami: zostawiam do rozwiązania ludziom mędrszym odemnie. — Uważałem jeszcze jednego człowieka wzrostu niskiego, oczu żywych, odzianego z wielką przysadą. Z wyrazu jego postawy podéjrzéwałem, iż świégotliwym być musi; a z miny jego uradowanéj sądziłem, iż jest zapewne autorem, któremu się dobrze w umowach z księgarzami udaje. Pilnie się nad nim zastanowiwszy, poznałem, iż to był pewny pracowity kompilator owych rozmaitych zbiorów, które tak dobrze w handlu dzisiaj popłacają. Ciekawość mię wzięła widzieć, jakim sposobem przygotowywa swoje towary. Więcéj ón sprawował zgiełku, i więcéj się zdawał być nad innych zajęty. W mnóstwie ksiąg zakopany dotykał się kart różnych rękopismów to z tego, to z owego cząstkę wypisując; wiérsz na wiérsz, przysłowie na przysłowie sadził, to tam trochę, to tu trochę zachwycił. Rzecz jego książki musiała tak być różnorodna, jak przyprawy zawarte w kotle czarownic Makbeta: naprzykład: *palec, i wielki palec, żabia noga, żądło wężowe, krew małpia;* a wszystko dla zrobienia porządnéj miészaniny. (1.)

(1.) Patrz Makbet, (akt 4. scena 1.) Szekspira. (P. T.)

— Ale cóż, rzekłem do siebie: ten duch kradzieży nie jestże dany autorom z bardzo słusznych powodów? Nie jestże to sposób przez Opatrzność obmyślony, ażeby nasiona mądrości i nauki z wieku do wieku, mimo niechybnéj rostraty dzieł, w których one swe nastanie wzięły, przechowane być mogły? Widzimy, że natura lubo w sposób osobliwy, mądrze jednak ułatwiła przenoszenie ziarn z jednego klimatu na drugi za pomocą gardzieli pewnych ptaków, tak, iż utwory, które z siebie samych niewielkiéj są ceny, i zdają się być dla niszczenia pól zasianych i ogrodów zrodzone; są istotnie posłańcami nieba, którzy dobrodziéjstwa jego rozrzucają i utrwalają po świecie. Podobnymże sposobem piękności i wyniosłe myśli starożytnych autorów są kradzione i na jaw ukazywane przez rój plagiatorów, i po długim przeciągu wieków na nowo rozkwitają i świéże wydają owoce. Wiele z tych starożytnych dzieł pewnego rodzaju metampsykozy doznają i pod innémi ukazują się kształtami. Co przedtém historyą poważną i znaczącą było, to w odzieży romansu na świat zajaśniéć wychodzi; stara kronika przemiénia się w komedyą nowożytną; głęboki traktat filozofii mnóstwu pomyśleń żartobliwych i lśniących za wątek służy. Toż samo się dzieje i z naszémi lasami w Ameryce gdy je wycinamy. Kiedy palimy gaj z sosen wspaniałych, ród karłowatych dębów miéjsce ich zabiéra; a nigdy nie widać ażeby pień drzewa wywróconego zgnił próżno na ziemi, niedawszy początku licznému pieczarek plenieniu. — Niech nas więc nie smuci upadek i zapomnienie jakiemu podpadają starzy autorowie; nic więcéj z nimi się nie dzieje, tylko iż ulégają wielkiému prawu natury, która chce, ażeby wszystko co jest z materyi ziemskiéj złożone, miało czas pewny swojému trwaniu zakréślony; lecz która téż zapowiedziała, że jej piérwiastki będą wiekuistémi. W królestwie zwiérzęcém i roślinném plemiona następują po sobie jednakowym porządkiem; lecz piérwiastek żywotny przechodzi od wieku do wieku, i rodzaje nié mogą być nigdy zniszczone. Tak właśnie autorowie wywodzą na świat autorów, i gdy się rozkrzewi

ich wielka rodzina, a nowi staną się starymi, idą spoczywać obok ojców swoich, co ich poprzedzili i od których część swoich dzieł wzięli. — Podczas, gdym tak błędnéj imaginacyi mojéj daleko się zapuszczać pozwalał, oparłem głowę o stos szanownych foliałów i tu, bądź z przyczyny wypływów sennych, które te dzieła wydychały z siebie; bądź dla głębokiego milczenia, które panowało w sali; lub iż długiém chodzeniem utrudzony byłem; lub nakoniec że się to stało ze złego mego nawyknienia zasypiać często w miéjscach i chwilach najmniéj przyzwoitych; co bądź, zdrzymałem. Z tém wszystkiém imaginacya moja pracować nieprzestawała: taż sama scena przedstawiła się umysłowi mojému, tylko w niektórych szczegółach zmiéniona. Zdawało mi się we śnie, że sala również portretami dawnych autorów ozdobiona była, lecz, iż się tylko powiększyła ich liczba. Długie stoły zniknęły, i na miéjscu mądrych magików ujrzałem mnóstwo ludzi różnémi łachmanami pokrytych, podobnie jak się widzieć zdarza w Monmut Strit około wielkiego magazynu najmowanych za piéniądze sukien. Gdy którykolwiek z naszych kompilatorów brał książkę, sądziłem przez zwyczajne snów dziwactwa, że ją przemiéniał na szaty mody staroświeckiéj lub cudzoziemskiéj, w które się zaraz sam odziéwał. Uważałem także, iż żaden z nich nie brał odzienia całkiem jednostajnego, lecz od tego rękaw, od tego kołniérz, od innegó połę pożyczał; składając takim sposobem z rozmaitych sztuk odmiénnych ubranie, wtedy gdy kilka kawałków ich piérwszéj łachmany pokazywało się spomiędzy świécącéj odzieży, która ich własnością nie była. — Uważałem tam inkunabulistę wspaniałéj postawy, żywych rumiéńców, i nie złéj tuszy, który przez szkiełko rzucał ciekawe wéjrzenia na kilku spleśniałych pisarzy polemicznych. Miał ón wielką chęć ściągnąć ogromny płaszcz jednego ze starych ojców kościoła, a zdartą innému siwą brodę przylepiwszy do twarzy, usiłował nadać sobie powiérzchowność człowieka nadzwyczaj mądrego; pomimo to niezgrabny uśmiéch malujący się w jego pospolitych rysach, nie bardzo się zgadzał z postawą

mędrca. — Drugi słabowitéj cery naszywał lichy bardzo ubior złotémi niémi, wyciągniętemi z kilku starych dworskich sukien z panowania królowéj Elżbiéty. Inny przyodział się wspaniale bogatym rękopismem, i przypiął sobie do boku bukiet zebrany w raju ciekawych wynalazków, a włożywszy na bakier kapelusz Filipa Sidnéj, przechodził się z nadętą, i wyszukaną postawą niezgrabnéj układności. Inny jeszcze nizki i schorzały, z zuchwałością okrył się łupem kilku niezrozumiałych traktatów filozoficznych; tak że powiérzchownością nakazywał poważnie, lecz opłakany był stan niższéj części jego ubioru, którą załatał pergaminem z jakiegóś łacińskiego autora. — Było wprawdzie kilku ichmościów dobrze odzianych, biorących tylko kamiéń drogi jaki, albo inną ozdobę, która nie przyćmiewając ich zgrabnego ubioru, blasku mu przydawała. Niektórzy téż zdawali się przypatrywać szatom dawnych autorów, jedynie dla przeniknienia się ich gustem i pryncypijami, i dla schwycenia ich ducha i fizyonomii. Ale z wielkim żalem widziałem, że największa liczba stroiła się z nóg do głowy w różne to od tego, to od owego pożyczone pstrociny. Nie zapomnę powiedzieć o pewnym geniuszu, który miał na sobie z grubego sukna kamasze i szarawary, a przy tém był w kapeluszu arkadyjskiego pastérza. Był to zapalony amator pisania w rodzaju sielanek; z tém wszystkiém przechadzki swoje ograniczył jedynie do zaciszy *Primrose hill* i ustroni *Regent's-park*. Girlandy i wstęgi, którémi się ozdobił, pobrał od starych poetów życie wiéjskie wysławiających; skłaniając swą głowę na bok niedbale, z miną sentymentalną i przysady pełną szedł *mrucząc pod nosem piosnki o łąkach zielonych*. Lecz osobą, która najbardziéj uwagę moję zajęła, był człowiek podeszłego wieku w dziwnym ubiorze. Miał głowę ogromną kwadratową i z włosów własnych ogołoconą. Wszedł do sali nadymając policzki i dysząc jak nazbyt ważna figura; rostrącał tłum łokciami powłocząc dokoła siebie wzrokiem, który się wyższość jego zdawał oznaczać; a opanowawszy jedno *in quarto* greckie, zarzucił je na głowę, która wnet w ogromną

puklastą perukę odzianą została, i daléj tryumfalnym postępował chodem. — Pośród téj literackiéj maskarady usłyszałem znagła głos się rozlégający: złodzieje! złodzieje! Patrzę, aż oto portrety, które po ścianach wisiały, życia nabiérają: widzę, jak z płótna wychodzi zrazu głowa, potém ramię, nakoniec cała postawa dawnych autorów; wpatrują się przez chwilę z ciekawością na nieruchomą kompilatorów gromadę, lecz się natychmiast rzucają na nich ze wściekłością dla odebrania własności swojéj. Niepodobna opisać zgiełku i zamiészania. Nieszczęśliwi winowajcy napróżno się złupem wyrwać usiłują. Z jednéj strony widzieć można było z pół tuzina starych wyznawców odziérających professa nowego; z drugiéj zgroza się w széregach naszych dramatyków dzisiéjszych szérzyła. Bomon i Fleczer zawsze nieodstępni; podobni Kastorowi i Poluxowi, na polach bitwy strach sieli, i silny Ben Dżonson daleko więcéj teraz ran zadawał, niżeli kiedy za ochotnika w wojsku Flandryi służył. Co się tycze owego najczynniéjszego miscelaneów zbiéracza, o którym mówiłem; tylu się upstrzył wyimkami rozmaitych kolorów, iżby go za arlekina wziąć można było. Około niego bój się straszny toczył. Tak się Grecy i Trojanie o trup ubijali Patrokla. Byłem zasmucony widząc wiele osób dla których szacunek i poważanie miałem, zmuszonych do ucieczki mając na sobie ledwie kilka gałganów dla pokrycia nagości. Spostrzegłem w tenczas i mego starego Greka z tonem dogmatycznym i fryzowaną peruką. Pełen strachu chciał się schować ścigany przez kilku autorów, którzy za nim straszliwe wydawali krzyki. Mocno nań natarli, i w jednémo oka mgnieniu widziałem zlatającą perukę. Za każdym razem jakaś cząstka z jego odzieży oderwana była tak, że w przeciągu chwil nie wielu, pobity, ogołocony z pompatycznego ubioru, pokazał się w swéj własnéj nikczemnéj i schudzonéj postaci. Schronił się nakoniec ledwie pokryty kilką łat powiéwających się na grzbiecie. — W smutnym losie owego pedanta było cóś tak komicznego, żem się rozśmiał wielkim śmiéchem, co rospędziło całe moje złudzenie.

Zgiełk ustał. Izba przyjęła postać zwyczajną; starzy autorowie w ramy powchodzili powracając znowu z ponurą uroczystością zdobić murowane ściany. Przebudziłem się nakoniec: cała czereda plagiatorów patrzyła na mnie z zadziwieniem. Nic ze snów moich nie było prawdziwém, tylko, że się głośno rozśmiałem. Nigdy a nigdy w tym przybytku powagi niesłyszano podobnego hałasu, a tak przeraźliwie dla uszu uczonych, iż się zdał wstrząśnienie elektryczne na całém zgromadzeniu sprawować. — Bibliotékarz przystąpił ku mnie i spytał się: czy mam bilet wchodowy? Nie zrozumiałem go z razu; lecz wkrótcem się dowiedział, że bibliotéka miała jakieś wyjątki podobne prawom zeprzéczającym po lasach łowów, gdzie niémóżna polować bez wyraźnego na to pozwolenia; jednêm słowem, byłem przekonany że jestem prawdziwie po cudzych kniejach myśliwy, i prędkom się starał stamtąd wycofać, bojąc się, aby cała zgraja autorów nie rzuciła się na mnie.

———

ANEGDOTA.

———

Pewien uczony kazał sławnému malarzowi odmalować się; krom jednak zdatności, nieudało się malarzowi trafić dobrze twarzy uczonego. Odmalowany nie chciał zapłacić za portret dla braku podobiéństwa, lecz od malarza zapozwany przymuszonym został do zapłaty, ponieważ sędzia utrzymywał, iż jak dla poety, mającego żywą wyobraźnię, dosyć jest podobiéństwa. Zapłacił więc uczony, a powiesiwszy portret w swym pokoju, umieścił pod nim napis: «mocą wyroku sądowego, za podobny uznany!»

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w PONIEDZIAŁEK, ŚRODĘ i PIĄTEK o drugiéj po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Kocha i Schreibera.

W Krakowie Czcionkami Józefa Czecha.

POLITYKA.

Francya. *Paryż* 24 Lipca. — W ministeryum spraw wewnętrznych, mówią bardzo o ważnym uwięzieniu, które w Bajonie nastąpić miało. Słychać, iż tym uwięzionym ma być były officer francuzki adjutant marszałka Bourmont, który w chwili, gdy chciał granicę przebyć, ujętym został. — Dziennik *Constitutionel* donosi o obecném położeniu Don Karlosa, co następuje: Posunięcie się Don Karlosa ku Walencyi, nastąpiło w skutek udzielonych mu wiadomości, na których się zawiedziono. W jedném z przedmieść Walencyi miészkających wielu Karolistów przyrzekło Don Karlosowi w imiéniu całéj ludności, iż za zbliżeniem się jego, bramy miasta mu otworzą. Don Karlos złudzony tém przyrzeczeniem, opuścił drogę ku Madrytowi, a udał się do Walencyi, nie wziąwszy nawet dział oblężniczych z sobą. Energiczny atoli opór miészkańców tegóż miasta, wstrzymał go na równinach Walencyi, gdzie jest 30,000mi Krystynów otoczony. Wiémy z pewnością, iż Don Karlos podstępem, lub przemocą drogą ku Madrytowi chce się udać, lub zwrócić ku Katalonii. Jeżeli jenerałowie królowéj dozwolą mu to wykonać, będzie to błąd nie dodarowania, który ich do odpowiedzialności pociągnie. — Rząd odebrał następującą telegraficzną depesze: *Marsylia* 22 Lipca. Pocztowy okręt, który 16 wyszedł z Walencyi, przywiózł listy zawiérające szczegóły morderczéj walki, która między dywizyą Oraa i tylną strażą Don Karlosa w bliskości tego miasta nastąpiła. Skutki téjże nie były jeszcze w Walencyi wiadome, lecz biegające wieści wystawiały takową, jako szkodliwą bardzo dla sprawy królowéj. — *Bordeaux* 23 Lipca. 15 b. m. w okolicy Chiwa, Oraa napadł na Don Karlosa ku Cuensa postępującego i pobił go. Karoliści stracili około 2000 ludzi. Baron de Meer również miał przy Prats-de-Leusanes korzyści odnieść; nieprzyjaciel zmuszony został do ucieczki i stracone armaty przy Berga zostały mu odebrane. — *Journal des Débats* donosi: Don Karlos zdaje się teraz ku Madrytowi posuwać. Niepodobna atoli iżby z oddziałem za nim postępującym mógł stolicę opanować, gdyby nawet Cabrera z 16,000 wojska miał się do niego przyłą-

czyć. Madryt bowiém, jak się za czasów Napoleona przekonano jest łatwy do obrony, a konstytucyjne wojska postępujące za armią jak i te, które przed Madrytem zebrane być mogą, są więcéj jak dostateczne do pobicia armii Don Karlosa, gdyby taż zamiérzała napaść na siedzibę rządu. Trudno atoli zgadnąć, w którą stronę Don Karlos istotnie udać się zamiérza; to jednak jest pewne, iż mu się udało wszystkie projekta konstytucyjnych jenerałów obalić przenosząc teatr wojny z północnych do południowo-wschodnich prowincyj, i zmuszając naczelnego dowódcę armii nawaryjskiéj do odsłonięcia wzburzonych prowincyj dla obrony stolicy.

Hiszpania. *Barcelona* 14 Lipca. Jedno z tutéjszych pism donosi:— Wojenny gubernator w Arveza donosi jenerał-kapitanowi Katalonii: W téj chwili dowiaduję się, iż przy Walencyi między jenerałem Oraą, brygardyerem Iriarte i Nogueras, i Karolistami odbyła się potyczka. Wojska nasze odniosły zwycięztwo. Don Karlos i Cabrera stracili wiele ludzi. — Gazeta *Morning Chronicle* donosi z Bagneres de Luchon pod d. 17 Lipca: Dowiadujemy się, iż baron de Meer obległ Solsonę, która teraz jest główną kwaterą katalońskich karolistów i miéjscem, z którego najwięcéj posiłków odbierają. Mało Katalończyków towarzyszyło Karolistom przez Ebro, mimo usilnych nalegań zachęcenia ich do tego, lecz częścią z niechęci ku baskijskim wojskom Don Karlosa, częścią z obawy obstawali przy swym uporze. Mianowanie Espartera naczelnym wodzem armii królowéj powszechne zadziwienie obudza. (G.P.S.)

ROZMAITE WIADOMOŚCI.

Rząd w Missisipi ogłosił rozporządzenie, mocą którego każdy z pojedynkujących się, który przy życiu zostaje, obowiązany jest płacić długi poległego.

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w PONIEDZIAŁEK, ŚRODĘ i PIĄTEK o drugiéj po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Kocha i Schreibera.

W Krakowie Czcionkami Józefa Czecha.